

Piotr Zaremba: „Ironbound” w Narodowym, czyli teatr empatyczny

To paradoks – dostałem świetny spektakl pod batutą ulubionego reżysera i w wykonaniu ukochanych aktorów. A jednak pytam, czy Teatr Narodowy nie jest ostatnimi czasy nachylony tylko w kierunku opowieści o jednostce. Pytam nieśmiało i z sympatią – pisze Piotr Zaremba w kolejnej części cyklu „Teatr według Zaremby”.

Ktoś czyta mnie uważniej niż ja sam. Krytyk teatralny z „Gazety Wyborczej” Witold Mrozek chcąc dołożyć za niezbyt sensowne zdanie krytyk teatralnej z „Naszego Dziennika” Temidzie Stankiewicz-Podhoreckiej, przypomniał moje twierdzenie, że w „Teatrze Narodowym czuję się jak u siebie w domu”. Miało to zawstydzić panią Temidę, którą piętnował, bo Mariusz Bonaszewski skojarzył jej się w jednej z ról z Narodowego z... szatanem.

Całkiem niedawno Mrozek porównywał mnie z kolei w felietonie do niszczycieli kultury z Marca '68. Teraz jestem na jeden moment, na ulotną chwilę, tym lepszym. Formuła „Nawet Zaremba...” prześladowuje mnie skądinąd przy okazji różnych tematów. To jednak tylko wstęp, żeby odrywając się od rozmaitych wariantów przyciężkiego ideologizowania teatru, odpowiedzieć. Tak, w Narodowym tak się właśnie czuję – jak u siebie, wraz z wieloma inteligenckim widzami, często o diametralnie różnych poglądach i wrażliwościach. Nie tylko w tym jednym teatrze tak się czuję, ale w nim w szczególności.

Weźmy ostatni sezon. Nawet najmniej zachwycająca mnie „Burza” bardziej Pawła Miśkiewicza niż Szekspira miała teatralnie piękne momenty, a zgrany zespół wykonywał perfekcyjnie trudne wokalne-choreograficzne zadania. Możliwe, że „Kilka dziewczyn” Neila Labute’a nie jest szczytem literackiej wymyślności, ale sztuka została zagrana z dużą werwą, dowcipnie i coś jednak mówiła o współczesnym świecie. „Tchnienie” Duncana Macmillana, debiut reżyserski Grzegorza Małeckiego, było już wręcz zachwycającym manifestem, jak się o tym świecie powinno opowiadać. A „Zemsta nietoperza” - świeżym, szampańskim żartem, nawet jeśli deklaracje Michała Zadary o ważnych odkryciach społecznych w operetce brzmiały na wyrost, ludzie od muzyki zgrzytali zaś zębami na aktorów śpiewających operetkowe arie.

Jako apogeum tego sezonu traktuję na razie zachwycającą adaptację opowiadania Brandysa, a poniekąd i replikę na film Hasa – „Jak być kochaną” w reżyserii Leny Frankiewicz, i z Gabrielą Muskałą w głównej roli. Za każdym razem imponuje mi jako widzowi warsztat, doskonałość wykonania – aktorów przede wszystkim, ale także scenografów, speców od muzyki czy nawet światła. Na podstawie kolejnych zdarzeń teatralnych w Narodowym można by uczyć rzemiosła i będzie to rzemiosło najwyższej próby, z pochwałą zespołowości i żelaznej dyscypliny, jak z laboratorium. A jeśli ten ciąg rozważań przesunąć na poprzednie sezony, to ho ho... Superlatywy zmieniają się w fanfary.

Mimo wszystko na „Ironbound” szedłem z pewną obawą. Sztukę napisała Martyna Majok, dziennikarka z nagrodą Pulitzera, Amerykanka polskiego pochodzenia. Reżyserował Grzegorz Chrapkiewicz, twórca inscenizacji bardzo odpowiadających mojej

wrażliwości, a przy tym zręczny w szperaniu w repertuarze, co wobec pewnego znużenia dramaturgią dawniejszą, i wobec kryzysu dramaturgii nowej, jest sztuką szczególną.

Jednak trochę powątpiewałem, czy tym razem rzuci mnie na kolana (jak choćby rzucił niedawno „Kobietami bez znaczenia” Brytyjczyka Bennetta w Dramatycznym). Dlaczego? Z powodu zajawek, że rzecz cała dotyczy rozczarowań Polaków zderzonych z Amerykańskim Snem. Ile tego już widzieliśmy? Nawet całe filmy – od „Biletu powrotnego” Petelskich, jeszcze z lat 70. po gryzący, tragikomiczny „Szczęśliwego Nowego Jorku” Janusza Zaorskiego. A ile było już nie tylko polskich, społecznych dramatów o ludziach odbijających się od tafli tamtego społeczeństwa, kiedy skakali do góry nie widząc szklanego sufitu? Co więc nowego zobaczę?

I w pewnym sensie miałem rację. Dostałem podpatrzony kawałek życia. Opowieść o kobiecie, ani bardzo dobrej, ani złej, którą zmieniają i pozbawiają złudzeń okoliczności, a która była wzorowana na matce autorki, też próbującej się utrzymać na powierzchni w przemysłowej dzielnicy Ironbound, w Newark, stan New Jersey. Obserwacje rzeczywistości w tle są dość przewidywalne. Dramaty ludzkie tak typowe, że łapiemy się chwilami na myśli: to widzieliśmy.

A jednak... A jednak nie zgadzam się głęboko z pewnym moim kolegą pisującym rozprawy o teatrze, który, kiedy wychodziłem raz z innej sztuki poruszony, wycedził: „No i czego nowego się dowiedziałeś?” Bo sztuka, teatr, nie jest tylko źródłem wiedzy. Ja tu szukam lekcji empatii, ją zaś można, warto, wreszcie czasem trzeba, powtarzać. Jak to lekcje.

*Sztuka, teatr, nie jest tylko
źródłem wiedzy. Ja szukam
lekcji empatii, którą można,
warto, wreszcie czasem –
trzeba powtarzać. Jak to lekcje*

Te krótkie scenki,
można by rzec
skecze, choć rzadko
kiedy wesołe, a
odgrywane nie w
chronologicznej
kolejności przy
przystanku

autobusowym, symbolizującym prowizoryczność życia głównej bohaterki, może i wszystkich bohaterów, mnie ułożyły się w poemat o zwyczajności życia. O tym, jak rzadko kiedy spotykamy ludzi tylko dobrych, lub tylko złych, jak bardzo musimy szukać życiowych kompromisów w najmniej komfortowych dla siebie sytuacjach, jak często dokonujemy rewizji życiowych priorytetów, i jak jednak zarazem trwamy przy rzeczach ostatecznych.

Daria jest poddana życiowym wyciskom, ale się podnosi. Popełnia rozliczne błędy, nie zawsze ma nawet okazję te swoje doświadczenia zweryfikować, ale dociera do kolejnych przystani. Ma też sposobność dostrzec, że czasem świat bywa nieśmiało, niekonsekwentnie, ale jakoś tam dobry, co najlepiej może symbolizuje zupełnie dygresyjna scena jej spotkania z licealistą Vikiem.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Nie dostajemy tych obserwacji nakreślonych według jakiejkolwiek ideologii. Ze zwykłego życia autorka z reżyserem zrobili balladę, którą śpiewa nam tajemniczy narrator bez imienia, grany świetnie przez Pawła Paprockiego. Bo te wszystkie obrazki nie miałyby sensu, gdybyśmy nie wierzyli w prawdziwość ludzkich portretów.

Koncert aktorski Ewy Konstancji Bułhak jest tak wiarygodny, że widziałem kogoś, kto na tym przedstawieniu wzruszył się do łez jej monologiem. Wielkość tej aktorki polega na podniesieniu zwyczajności do rangi... no właśnie wielkości. Jej się, powtórzę raz jeszcze, po prostu wierzy.

Partnerują jej poza stale obecnym Paprockim Marcin Przybylski jako Maks, pierwszy mąż Darii, Karol Pocheć jako Tommy, jej obecny partner oraz Henryk Simon, student V roku Akademii Teatralnej jako Vic. Nigdzie nie gra się tak intensywnie, tak wielobarwnie, tak bez fałszywych nut, jak w Narodowym.

Tu podobne widowiska przypominają popisy kameralnej orkiestry, a muzycy z tylnych rzędów są równie przekonujący, jak ci siedzący z początku. Oczywiście taktowna, sprawna ręka reżysera prowadzi ich niczym smyczek dyrygenta, nie mnożąc zbyt wielu efektów, ale poprzez ruch sceniczny na niewielkiej przestrzeni, odpowiednie gesty i mimikę pomagając im wydobyć na wierzch wszystko, co prawdziwe. Tu obie strony wyraźnie się słuchały, z pożytkiem dla efektu.

Mnie ucieszyła tak duża, samodzielna, bardzo dojrzała rola Karola Pochecia, aktora częściej (a szkoda) drugiego planu, oraz dobry start Henryka Simona umiającego na progu swojej aktorskiej drogi i rozbawić i wzruszyć. Choć największą więź odczuwam – poza wspaniałą Ewą Bułhak – z Przybylskim. Może to wpływ wiedzy spoza spektaklu, ale kiedy opowiadał o wpływie muzyki na swoje życie, o poszukiwaniu tego, co jedyne i własne, miałem wrażenie, że mówi trochę i od siebie, i także do mnie.

*Gwałtowni, trochę nieporadni,
prości ludzie Martynty Majok
przejmują po trosze rolę
dawnych, inteligentkich
bohaterów Czechowa. Po to,
aby także nas pytać o nasze
życie, bo również po to jest
teatr*

To przedstawienie gra jednak nie tylko postaciami, nie tylko słowem. Jest metaforyczny wymiar scenografii Anny Skupień i Katarzyny Szczurowskiej, gdzie śmietnik przy przystanku, i ponura rozpadlina w tle, w

którą wkracza się niczym w sferę mroku, to coś więcej niż pojedyncze miejsce. Mamy dyskretną, a przecież wchodzącą pod skórę muzyka Piotra Łabonarskiego, ba mamy ważniejszą niż w wielu przedstawieniach grę światłem – Piotra Pawlika... To wszystko czyni nas wrażliwszymi, może i lepszymi, pomimo pewnej dawki padających na scenie wulgaryzmów, spod których wizerają emocje. A aktorzy, bohaterowie, są w małej salce na Wierzbowej tak blisko nas.

Nie powinniśmy się tych emocji wstydzić. Ba, powinniśmy ich w sobie szukać. W tym sensie trochę gwałtowni, trochę nieporadni, prości ludzie Martynty Majok przejmują po trosze rolę dawnych, inteligenckich bohaterów Czechowa. Po to, aby także nas pytać o nasze życie, bo również po to jest teatr.

Co napisawszy, dorzucę pytanie pod adresem Narodowego. Nie ulega wątpliwości, że ten teatr ma niemal same pojedyncze celne trafienia. Że imponuje warsztatem. Że chlubiący się nim otwarcie dyrektor Jan Englert ostentacyjnie unika wiązania się dogmatami jakiegokolwiek programu, za co go chwaliłem w podsumowaniu jego piętnastolecia na tej funkcji.

O co więc chcę spytać? A o to, że całkiem niedawno, bez żadnego ogólnego programu, odbywały się tu ciekawe debaty o naturze dziejów, o powinnościach zbiorowości, o postawach społeczeństwa i jednostki wobec społeczeństwa. Taki sens miały rozmaite spektakle – od „Kordiana” samego Englerta po choćby niedawny „Ślub” Gombrowicza w reżyserii Nekrosiusa czy nawet niedocenioną, a mnie bardzo ciekawiącą „Śmierć Dantona” Büchnera.

Ten sezon jest zaś jak na razie zwrócony bardzo ku jednostce, jej wyborom, nawet jeśli w tle „Ironbound” dostrzeżemy społeczny, a może i historyczny kontekst. Jest też odwrócony trochę plecami do historii. Możliwe, że to splot przypadków, albo swoista pieriedyszka. Ale odnotowuję i wyrażam pewną tęsknotę.

W tej tęsknocie kryje się też paradoks. Ja się boję zwrotu ku teatrowi zaangażowanemu, publicystycznego, w warunkach polskich zwykle wojująco lewicowemu, bo można popaść w karykaturę jak w Powszechnym. Englert tego unika i chwala mu za to. Niemniej czekam na powrót do balansu między tym, co dawne i dzisiejsze, wspólne (a może i wspólnotowe) i jednostkowe. Możliwe, że kiedyś pożałuję podobnych postulatów. Ale warto pytać i próbować.